

Jolanta Choińska-Mika: Zgoda wszystkich czy arytmetyka? Liberum veto i polski parlamentaryzm

Podstawą staropolskiego sejmowania było dążenie do „zgody wszystkich”, osiągananej poprzez „ucieranie” opinii, „ważenie” (a nie liczenie!) głosów. Chodziło o to by przekonać, a nie zagłuszyć opozycję. Sprzeciw i protesty, nawet bardzo ostre, były naturalnymi elementami parlamentarnej debaty, zwłaszcza, gdy jej temat wzbudzał duże emocje. Inspirowały one do poszukiwania kompromisu – pisze Jolanta Choińska-Mika w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Liberum veto. Między zgodą a anarchią”.

„Złodziejskim sposobem wyjeżdżając wystawił Rzeczpospolitą na pośmiewisko losu” – tymi mocnymi słowami kanclerz Litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł ocenił akcję posła z Upity, Władysława Sicińskiego, który 9 marca 1652 r., zaprotestowawszy przeciwko dalszemu przedłużaniu obrad sejmu opuścił zgromadzenie. Jego veto i wyjście z izby nie od razu zostało zauważone. Dopiero kolejny protest, tym razem pisarza bielskiego, Krzysztofa Zelskiego (Zielskiego) przerwał zbieranie deklaracji na temat ewentualnej prolongaty, przypominając zarazem o wcześniejszej kontradycji litewskiego parlamentarzysty. Marszałek Fredro zawiesił obrady do powrotu Sicińskiego w nadziei, że wycofa on swoje veto. Ale zarządzone poszukiwania nie przyniosły rezultatu – upickiego posła nie odnaleziono. Po blisko dwóch dniach oczekiwania, 11 marca, marszałek postanowił zakończyć obrady. Sejm rozszedł się bez uchwał. Opisany incydent dla przyszłych pokoleń na długie lata stał się symbolem kryzysu staropolskiego parlamentaryzmu, przesłaniając jego dokonania. A za sprawą francuskiej edycji, napisanego z wielką swadą dzieła Władysława Konopczyńskiego[1] (*Liberum veto...*) również w historiografii europejskiej upowszechniło się przekonanie, że funkcjonowanie sejmu walnego Pierwszej Rzeczypospolitej opierać się miało na niszczycielskiej zasadzie jednomyślności. Tymczasem, jak udowadniają prace m.in. Anny Sucheni-Grabowskiej, Waława Uruszczaka, Edwarda Opalińskiego i niżej podpisanej, podstawą staropolskiego sejmowania było dążenie do

„zgody wszystkich” (*consensus omnium*), osiągniętej poprzez „ucieranie” opinii, „ważenie” (a nie liczenie!) głosów. Chodziło o to by przekonać, a nie zagłuszyć opozycję. Sprzeciw i protesty, nawet bardzo ostre, były naturalnymi elementami parlamentarnej debaty, zwłaszcza, gdy jej temat wzbudzał duże emocje, jak to było choćby w okresie walk o egzekucję praw i dóbr. Inspirowały one do poszukiwania kompromisu – akceptowanego przez ogół rozwiązania. Był to oczywiście żmudny proces, wymagający czasu, ale, co zwłaszcza mocno podkreślała w swoich badaniach Anna Sucheni-Grabowska, parlamentarzyści doby jagiellońskiej „nie chodzili na skróty”, nie szukali łatwiejszych aniżeli „dochodzenie do zgody” rozwiązań. Doceniali wartość debaty, nawet jeśli nie prowadziła ona do uchwalenia konstytucji. Nie uznawano bowiem „niedoszłych sejmów”, przywołując znów określenie Sucheni-Grabowskiej, za sejmy stracone – podczas dyskusji i sporów krystalizowały się poglądy na najważniejsze problemy Rzeczypospolitej – państwa i wspólnoty.

Dla parlamentarzystów tej doby *consensus omnium* oznaczał nie jednomyślność ale jednozgodność, a ta nie wykluczała podejmowania decyzji przy pojedynczych, czy grupowych protestach. Taka wykładnia zasady zgody przetrwała co najmniej do pierwszych dziesięcioleci XVII wieku. Źródłem jej trwałości było między innymi przywiązanie do tradycji i wypracowanych przez przodków wzorów, których wedle powszechnej opinii, nie wolno było lekkomyślnie zmieniać. Bardzo długo, bo jeszcze w czasach Władysława IV żywa była niechęć do mechanicznego liczenia głosów, wynikająca również z obawy o możliwość korumpowania posłów w celu osiągnięcia arytmetycznej większości. Stąd też w źródłach znaleźć można opinie, że „nie kresek ale *consensus in genere omnium* Rzeczpospolita potrzebuje”. Równocześnie jednak pojawiały się w czasach władysławowskich coraz liczniejsze przypadki „zacinania się” mechanizmów parlamentarnych, czego jednym z objawów było usuwanie („drapanie” używając języka źródeł) konkretnych uchwał pod wpływem grupowych protestów. W kolejnych dziesięcioleciach tendencje te uległy nasileniu, co było wyraźnym świadectwem erozji dotychczasowej („rozszerzonej”) wykładni zasady zgody.

Trudno znaleźć jednoznaczne wyjaśnienie tego procesu, warto jednak zwrócić uwagę na kilka aspektów. Przede wszystkim nie odbywał się on w politycznej próżni. To co działo się w sejmie było ściśle związane z

aktualną sytuacją wewnętrzną i przeobrażeniami społeczno-politycznymi, których doświadczała Rzeczpospolita za panowania ostatnich Wazów, a które zostały dobrze opisane w literaturze przedmiotu. Postępująca wraz z nasilaniem się walki politycznej i rozwojem systemu fakcyjnego i zjawiska klientyzmu, dekompozycja, a nawet destrukcja monarchii mieszanej, miała zasadniczy wpływ na funkcjonowanie polsko-litewskiego parlamentu, który stając się forum rozgrywek pomiędzy obozami politycznymi, począł tracić swą ustawodawczą rolę. Wyraźne, zwłaszcza w drugiej połowie XVII wieku tendencje do apologizowania istniejących rozwiązań stanowiły skuteczną blokadę dla pojawiających się pomysłów usprawnienia czy zmian w praktyce sejmowej. Towarzyszył temu wzrost bardzo wąsko rozumianego legalizmu, a nawet formalizmu prawnego – częściowo naturalny, a częściowo podsycany w imię doraźnych interesów. Efektem tego było absolutyzowanie litery prawa, rygoryzm prawny, wykorzystywany również jako narzędzie do osiągnięcia politycznych celów. Jedną z „ofiar” przeobrażeń – zachodzących przede wszystkim w sferze świadomości politycznej i systemu wartości – była m.in. parlamentarna procedura. Zablockowanie konstytucją z 1633 możliwości przedłużenia obrad ponad przepisane artykułami henrykowskimi sześć tygodni i nakaz przystępowania do konkluzji sejmowej na pięć dni przed upływem tego terminu, stawiało każdorazowo parlamentarzystów przed nie lada wyzwaniem. Jak w ciągu 42 dni (a na ogół w czasie znacznie krótszym, bo w niedziele i święta nie obradowano) przedyskutować najpilniejsze, związane głównie z opłaceniem wojska problemy, uwzględniając jeszcze sprawy „przyniesione” przez kilkadziesiąt sejmików z Korony i Litwy. Chcąc doprowadzić do podjęcia uchwał, mimo sztywnych regulacji, sejmy dość regularnie przedłużano, by zyskać dodatkowy czas na ucieranie stanowisk. Wybierając to rozwiązanie de facto łamano prawo, stąd też każda decyzja podjęta w czasie prolongaty mogła zostać zakwestionowana jako nielegalna. Patrząc więc z tej perspektywy na postępowanie Sicińskiego, można je zrozumieć, a nawet usprawiedliwić. Nie godząc się na przedłużenie obrad miał po swojej stronie zapisy prawa.

Tak też chyba rozumował marszałek Andrzej Maksymilian Fredro, skoro po kontradycji upickiego posła, najpierw zawiesił obrady a dwa dni później postanowił je zakończyć. Tym samym rozstrzygnął dylemat (cytując raz jeszcze Albrychta Radziwiłła) „czy sejm może być

przerwany przez jednego zgłaszającego sprzeciw”, co do którego „były racje za i przeciw”. Decyzja marszałka oznaczała, że w przypadku podejmowania decyzji dotyczącej prolongaty, niezbędna jest literalnie rozumiana „zgoda wszystkich”, zgoda każdego posła. Lecz choć to rozstrzygnięcie (jak każdy precedens) niosło ze sobą wiele zagrożeń na przyszłość, torując drogę zasadzie jednomyślności, przynajmniej w odniesieniu do prolongaty, to niekoniecznie musiała się ona utrwalić w parlamentarnej praktyce. Wiele zależało od bieżącego układu sił, grup interesów itp., co potwierdzają kolejne sejmy za Jana Kazimierza. Jednak w sytuacji zaostrzającej się, zwłaszcza po projekcie elekcji *vivente rege*, walki politycznej, dostrzeżono w kontradycji na prolongatę, użyteczne narzędzie rywalizacji na sejmowym forum. W 1661 r. Bogusław Radziwiłł, przybyły nota bene pod sam koniec sejm, grożąc zerwaniem prolongowanych obrad, zmusił zebranych do wycofania antyariańskiej uchwały, na którą wcześniej parlamentarzyści się zgodzili. Osiągnąwszy swój cel, poseł podlaski (bo w tej roli występował książę) umożliwił dalsze procedowanie. Ostatecznie sejm zakończył się miesiąc po ustawowym terminie, uchwalając 143 konstytucje. Ale największe znaczenie dla ugruntowania się zasady jednomyślności w świadomości szlacheckiej miały lata sześćdziesiąte XVII stulecia – a krytycznym punktem był sąd nad Jerzym Lubomirskim podczas sejmów 1664/65. Pomimo licznych protestów stronników Szreniawity, prób sparaliżowania obrad przez wychodzących z kolejnymi kontradycjami posłów, sejm procedował, bo tak silna była determinacja dworu, by rozprawić się z groźnym oponentem. Sejm ostatecznie rozszedł się bez uchwał, po proteście zgłoszonym ostatniego dnia konkluzji przez posła Telefusa, ale sam wyrok nie stracił ważności. Nic więc dziwnego, że na kolejnym sejmie 1665 r. lubomirszczycy przypuścili ostry atak na marszałka Jana Gnińskiego, próbując wykazać, że kontynuując posiedzenie, pomimo zgłaszanych kontradycji, złamał zasady. Spór o legalność indywidualnych protestów miał swoją odsłonę również na kolejnych sejmach. Zwolennicy Lubomirskiego forsowali wykładnię o konieczności poszanowania indywidualnego protestu *w każdej* fazie obrad. I choć interpretacja ta miała służyć jedynie ich doraźnym celom – restytucji patrona, to w praktyce zaczęła dość szybko stawać się coraz powszechniej akceptowaną normą. Ale dopiero w 1669 zerwano sejm (i to koronacyjny!) przed upływem określonego prawem czasu – w piątym tygodniu obrad.

Szlachta, o czym świadczą uchwały sejmików, zdawała sobie sprawę z konsekwencji paraliżowania sejmowych obrad kontradykcjami, ale nie bardzo potrafiła sobie z tym poradzić. *Vox libera* stał się najważniejszą wartością, a zasada jednomyślności zaczęła być swego rodzaju paradygmatem, którego odrzucenie nie mieściło się (przynajmniej w ówczesnych realiach) w szlacheckiej świadomości. Stąd też, nieco bezradne próby ograniczenia destrukcyjnej praktyki poprzez projekty wprowadzenia dwóch kategorii – protestu „przy prawie”, czyli zasadnego oraz protestu „*privatim*”, którego nie należało uwzględniać. Sami jednak projektodawcy nie wierzyli zbyt w możliwość realizacji tego pomysłu. Nieskuteczne, a nawet kontrskuteczne, okazywały się próby związkiwania parlamentarzystów przysięgą i instrukcjami. Pozostawało zatem apelowanie do parlamentarnych sumień, by „pod pretekstem wolnego głosu” nie zrywano obrad. W gruncie rzeczy, trudno się naszym przodkom dziwić – w ówczesnych realiach najważniejszym gwarantem sprawności sejmu było poczucie obywatelskiej powinności i odpowiedzialność elit, dobra wola i umiejętność mobilizacji wobec konkretnych celów. Nawet bowiem sformalizowanie trybu podejmowania decyzji, opisanie w konstytucji 1690 r. („Objaśnienie konstytucji dawniejszych o sejmowym porządku”) jak pokazał dalszy bieg wydarzeń, nie rozwiązało problemu zrywania sejmu.

Jolanta Choińska-Mika

Przypisy:

[1] W. Konopczyński, *Liberum veto. Studium porównawcze – historyczne*, Kraków 1918; wyd. francuskie, *Le liberum veto; étude sur le développement du principe majoritate*, Paris 1930)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego